№ 20.

Warszawa dnia 7 (19) Maja R. 1866.

TYGODNIK MÓD I

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

URYWKI

SPISANE Z PAMIĘTNIKÓW JANA BUGAJA

Z KOŃCA WIEKU XVII.

I.

ZAMEK W OSSOLINIE I PAN MARSZAŁEK.

Pisanie moje to nie na popis, ani naganne przechwałki, ale na chwałę Bożą i pamiątkę dla moich dziatek, wnuków i prawnuków, co rojem ich otoczony, wyglądam jak stara topola, od korzenia zarosła młodemi wypustami. W młodzieńczości, wesoły i buńczuczny, sfolgowałem w późniejszym wieku, a dziś w starości rozmyślam dawne sprawy, szepczę zdrowaśki i żałuję przekroczeń krewkości cielesnéj. Taka to nasza dola! dobrze starzy mówią, ten prawdziwy Salomon, co rozważa dzisiaj, w czem był głupi wczoraj.

Dworską służbę rozpocząłem w sławnéj pamięci pana Podskarbiego Jerzego Ossolińskiego, co to po śmierci króla Zygmunta III już po wstąpieniu na tron syna Władysława posłował do papieża Urbana VII. Ostry to był pan, ale w dobroci przylep go choć do rany. Kiedy mnie ojciec jeszcze gołowąsem zawiózł na dwór podskarbiego, w Ossolinie w Sandomierskiéj ziemi stał już od dawna wspaniały zamek, hardo jak pan jego patrząc w okolice. Cały był zbudowany z kamienia i cegły na wysokiéj skale, otoczonéj w koło głębokiemi parowami. Ogrodzony murem wysokim, miał wojenne baszty a na uboczu ogród wymysłu włoskiego. Przyjazd nasz z nieboszczykiem rodzicem, przypadł podczas niebytności pana Podskarbiego, który zabawiał się polowaniem w Nawodzkiéj kniei, ale że rodzic mój był bywalec i światowy człowiek, więc zaraz pobratał się z marszałkiem dworu. Pani Podskarbina wyjechała do siostry, poszliśmy zatem na pokoje pańskie, aby jak mówił rodzic, przejrzeniem wspaniałych komnat dodać troszkę odwagi mojéj domowéj nieśmiałości i nie dać się zbłaźnić przy pierwszem przedstawieniu.

Przechodziliśmy komnata po komnacie, które marszałek nazywał pokojami, a ja gubiłem oczy we wspaniałości, nie wiedząc gdzie je przerzucić albo zatrzymać. Posadzki woskowane układane były w różne wzory, przedstawiające gałązki, kwiaty, czasem jakby żyjące jakie postacie, a najwięcéj różne łamańce i figury. Ściany pokrywały szpalery, czyli obicia jak mówił marszałek, na których malowane były różne światowości. Czasem malowanie kręciło się jakby z wężów ułożone, to znowu uplecione było z grubych gałęzi z liściami, pomiędzy któremi uwijały się różne zamorskie ptastwo, barwne motyle, chrząszcze, koniki. Te groziły sobie, napastowały, goniły, albo wyprawiały różne cudeńka, że gdyby nie respekt dla starszyzny, to bym się śmiał ujmując za boki. Pomiędzy temi różnościami i łamańcami, mieściło się malowane morze, na nim z wydętemi żaglami unosiły się okręty, w górze latało jakieś ptastwo z ogromnemi skrzydłami, a w oddaleniu snuły się jakby chmury, pasma dalekiego lądu z wyskakującą nieznaną mi drzewiną. W innem znowu miejscu zdało mi się, jakbym widział to co znałem dobrze, gaje, strumienie, wzgórza, ale kiedym się przyjrzał lepiéj, po stroju ludzi co ich tak malarz pomieścił, poznałem odrazu że to cudze strony.

Miejscami zamiast szpalerów, ściany okrywały kobierce tureckie albo opony z różnemi wizerunkami, natykane perłami i przerabiane haftem i złotem. Bogactwo to było niezmierne i tak mnie zadziwiło, że otworzyłem usta jak wrota i stałem rozpatrując się w tych cudownościach.

— „Ej! chłopcze połkniesz muchę,“ odezwał się rodzic zerkając okiem ku marszałkowi, „a choć nie przewierci ci brzucha, ale zawsze tutejsza i pan marszałek w upomnieniu o pańską własność mógłby nas przyaresztować.“

Zawstydzony, zwarłem usta i przygryzłem języka. Oba starzy uśmiechnęli się, pan marszałek zaś poczciwa dusza uderzył mnie po ramieniu i rzekł przyjaźnie.

— Z nami chłopcze fracha, bo mamy stateczność i wyrozumiałość, ale z młodzieżą dworską gorsza sprawa. Sprytne to, figlarne i jedyne do psich sprawek. Przy kolącym języku mają ostre zęby, jeżeli więc twoje tępe wyostrz je. Szabla ostra służy wojnie a dobry język dworskości.

Pocałowałem w rękę szanownego starca dziękując za radę, a pan marszałek pokręcił i dodał na pociechę:

— Ciekawości jednak mój Janku nie wstydź się. Starym obyczajem chłop mocny a wyrostek ciekawy, dobiją się sławy, więc ciekawość do dobrego nie wadzi.

— Ale do dobrego pamiętaj waszeć, dodał rodzic.. nie do tego królestwa co to w niem igła i rogówka króluje, krasa przyświeca, a oczy czarne albo modre pałają i sypią iskry jak gwiazdy promienie.

Usłyszawszy to myślałem że spalę się w zarumienieniu. Co prawda wiedziałem już dobrze, że jeszcze są oczy piwne i bure, i nauczyłem się tego w stodołach u pana Kruskiego, poglądając raz na pannę Barbarę, to znów na Monikę, ale przytyczki takiéj rodzic ani razu tak wprost do mnie nie wystosował. Zobaczywszy więc żem się prawie zamienił w buraka, zwrócił się do pana marszałka i rzekł:

— Mości Żukowski, w fraucymerze waszym zapewne synogarliczek nie brakuje?

— Roi się tego dosyć jak ptaków w klatce, a szczebiotne to i okaźne, ale wszystkie szlachetnego rodu, herbowe z ojca i z matki.

— Pokusy więc dosyć! ot i nowa bieda, szepnął rodzic jakby do siebie, a potem zwracając się ku mnie dodał: nie zapominaj waszeć, że z pokusy niewieściéj ludzie raj utracili. Na dworze pana podskarbiego i pod opieką pana Żukowskiego będziesz jak w raju, ale ze stałością trzymaj się pańskiéj klamki, i bacz aby ci jéj jakie figlarne oczy nie wytrąciły, niewieści urok to największa moc ziemi, bo najrozumniejszego robi głupcem.

O tem co prawda z praktyki nie miałem przekonania, słyszałem tylko jak gadano, że pan z Okaliny zgłupiał na piękne, ożeniwszy się w szóstym krzyżyku życia z wdową młokoską, jeszcze i połowy lat tych nie mającą i myrgającą oczami nie po świętościach ani koronce; ale jak się ta sprawa odbywa nic nie miarkowałem. Zamotałem jednak z tych słów węzełek w myśli, ślubując nigdy nie popaść w taką łapkę, ani w podobny despekt u ludzi. Wtenczas zwrócił się do mnie pan marszałek i zapytał:

— Cóż Janku powiesz na to?

— Jeżeli to nie będzie z przeciwnością pana ojca dobrodzieja, odrzekłem chyląc się ku kolanom rodzica, to bym rzekł, że nad moc ziemską idzie górą opieka Boża i pamięć na nauki rodzicielskie. Pod takim puklerzem, pójdę śmiało choćby w bramy piekła.

— Dobrze rzekłeś i uczciwie, odezwał się pan Żukowski, a rodzic popatrzył na mnie z uśmiechem i kiedym znowu nachylił się do jego kolan, ucałował mnie w głowę.

Szliśmy potem daléj, słyszałem tylko że marszałek szepnął: „Łepski chłopak,“ a rodzic odrzekł: „To krwią idzie mości Żukowski.“ Kiedyśmy przyszli do niewielkiéj komnaty ze szklannemi drzwiami prowadzącemi na ganek, rzekł pan marszałek:

— Z ganku tego okiem daleko można sięgnąć. Kiedyś, za dawnego drewnianego zamku rozebranego przez pana Podskarbiego, w tem samem miejscu była strażnica dla czatowników. Dziś okno zostało i ganek, ale w miejsce czatowni wyfundowano pokój dla saméj pani Podskarbiny, na gawędki po południowe. Długo dla różności, na ścianach nie dano obicia, ale tynk nasadzany złotem i rozmaitą kosztowną farbą. Wysztyftował to Włoch kanalja, mierżący się wszystkiem naszem jak morowem powietrzem, i zawsze mamroczący: *non sopranto*, *non sopranto*.

— Jabym mu rzekł: czuj duch djable wenecki, zawołał ojciec podkręcając wąsy, i zażegnał krzyżem swiętym, a możeby zamorskie dziwo przemówiło ludzką mową.

— Nie brakło nam na to ochoty, odrzekł marszałek, ale pan Podskarbi przykazał surowo, Włocha zostawić w pokoju, i zagroził srogą karą.

Ruszyliśmy znowu daléj.

W każdym kącie przy różnych meblikach, szafach stołach, zydlach, ławach, wyścielanych i krytych aksamitem czerwonym albo szafirowym, wybijanych w koło mosiężnemi główkami od żelaznych ćwieków, stało pełno rozmaitego kramu i drobiazgu, jakby jakie bawidełka dla dzieci. Tam stała czarka w postaci smoka z jaspisowego kamienia, oprawne w złoto, i z taką prawdziwością zrobionego, że zdało się, iż poczwara ukąsi kto się ku niéj przybliży. W innem miejscu stał kubek wyobrażający byka, biegnącego na oślep ze spuszczonym łbem ku dołowi. Cudnéj piękności jeleń z rogami koralowemi, stał obok okrętu ze złota, ze wszystkiemi masztami, okienkami bardzo misternie wyrobiony. Żagle miał srebrne, i sztucznie powydymane jakby z prawdziwego płótna, a przy nim na łańcuszku stał bacik złoty do przeprawy. Choć okręt zdawał się płynąć na lustrzanéj szerokiéj podstawie, jednak po jednéj jego stronie stał pelikan z dużym torbiastym dziobem, po drugiéj paw z ogonem roztrzępionym a oba ze szczerego złota. Na innym stole stał znowu duży zegar, niby jaki forteczny budynek z basztem i bramami zajezdnemi. Skazówki przedstawiały dwa miecze w dwóch dzierżone rękach, liczby godzinowe były z bisurmańskich figur, a gdy uderzyła dwunasta godzina, roztwarła się po jednym boku brama i wyszedł z niéj cały regiment piechoty, z oficerami doboszem i trębaczem. Potem uszykował się do linji w samym środku, zaprezentował broń, a dobosz zabębnił, trębacz zatrąbił i z taką akuratnością, jakby to nie były lalki, ale żywi żołnierze na jakiem paradnym wystąpieniu.

Po bokach w komnatach stały kamienne filary a na nich z brązu różne ludzkie postacie, ale nie mogłem miarkować co przedstawiają. Niektóre miały wieńce na głowach, inne w rękach lutnie albo książki. Były tam także z białego alabastru, aleśmy je przeminęli z prędkością i nie mogłem się im dobrze przyjrzeć, bo pan marszałek wskazał palcem na wielkie dzbany napełnione pachniącem kwieciem, poszedłem więc do nich z oczami, a potem zaraz wyszliśmy do następnéj komnaty. W jadalni w szafie za szkłem, pełno stało misek z czystego złota i ze srebra, kubki i rogi do picia oprawne w ten sam drogocenny metal, i różne flasze i flaszeczki z jaspisu i kryształu. W bibljotecz-

néj sali było dosyć książek świeckich, nabożnych i duchownych przewodników w drodze zbawienia, dzieła filozofów, polityków, poetów i nuty muzyczne do śpiewu i grania. Pomiędzy bronią turecką i tatarską wisiały różne obrazy, w oszklonych szufladkach leżały różne rzadkie monety poukładane rzędami, a przegięte ponawlekane były na sznurek mianowicie monety węgierskie św. Władysława ze znakiem halabardy, z różnemi łacińskiemi nazwami, jak oto: mater gratiae, patrona Hungariae, in hoc signo vinces.

W sypialni stały łóżka żelazne szrubowane, na nich pierzyny atłasem kryte, a poduszki dziergane złotem. Otaczały je drogie tkane kobierce i rumiane głogowskie szkarłaty, z pod pierzyn wyglądały materace z altembasu 1) a na wierzchu leżały haftowane kołdry. Listwy ścian były wykładane fladrem, około łożnic złotem i srebrem, nad drzwiami znajdowały się sztukaterje różne sztukwarkiem nakrapiane, w środku wznosił się stół okrągły, na nim porozkładane szkła różne, szczególniéj też francuzkie okulary co miały oczom nie tylko pomagać, ale i naprawiać. Przy łożu saméj pani podskarbiny stał mały stoliczek z klęcznikiem do modlitwy, okryty wzorzystym dywanem, na nim znajdował się krzyż srebrny z pozłacanym wizerunkiem Chrystusa Pana, w cymborjum oprawione święte relikwie przywiezione z Rzymu i Pismo święte w ozdobnéj okładce. Nad łożem pana podskarbiego znajdowała się misternie ułożona w gwiazdę broń palna i sieczna i tak bogato poprawiana, że mi ledwo do niéj oczy niepowyskakiwały, nad głowami zaś u obu łożnic mieściły się obrazy ze świętemi pańskiemi, namalowane olejno przez jakiegoś bardzo kunsztownego malarza. O świecznikach, o lampach, pająkach i różnym innym kramie służącym to do siedzenia, to do leżenia nic już nie powiem, bo na opisanie takiéj mnogości i różności i ręki i papieru nie stałoby. Kiedy obejrzeliśmy wszystko, pan marszałek obróciwszy się do rodzica rzekł:

— „Z tych pańskich wysokości raczcie teraz panie rotmistrzu przejść do mojéj zakonnéj celi, w któréj nie znajdziecie ni zbytku ni wspaniałości, ale za to spotkamy flaszę gdańskiéj wódki, bigos z kapustą i zrazy z kaszą".

Na taką zapowiedź aż mi śliny w ustach przybyło, bośmy po barszczu tylko z domu wyjechali, dla tego nic się już nie rozglądałem w około siebie, tylko zastawszy stół nakryty, i otrzymawszy pozwoleństwo na chwycenie się dojadku, z taką ochotą pucowałem że aż mi się uszy trzęsły. Starzy jedli także ale już nie z taką łapczywością i kiedyśmy sobie już nieźle wszystkiego pozwolili, pan marszałek nalawszy w szklanicę piwa rzekł:

— „Nie skąpiłbym wam panie rotmistrzu wina, ale po kapuście idzie w truciznę. Piwo gasi pragnienie i pomaga strawności, a i tak na odjezdnem niewypuszczę was bez strzemiennego. Pan podskarbi wróci dopiero wieczorem, pogawędziwszy więc po staremu pozostawię was w zupełnéj wolności, bo dworskie ceregiele i nadskoki gościowi podobają się jak łakotki, ale w prędce jak one nudzą i przejadają się."

Piwo było wyborne, za dwoma więc pociągnięciami dno w szklanicy pokazało się, co zobaczywszy marszałek uśmiechnął się i rzekł przerywając wspominki o dawności:

— „Wasz Janek szparko z posiłkiem umie się obchodzić, tak właśnie jak młody powinien. Sprawność przy półmisku i w dworskości w jednéj chodzą parze, a ta potrzebna kto nie chce iść na zajdach, ale na czele. Naprzód idzie ksiądz kapelan pilnujący duszy państwa, aby nie weszła na błędne po ziemi manowce: po nim idzie doktór strzegący zdrowia państwa, aby nie szwankowało, potem prokurator pilnujący całości majątku, aby go nieskubano. Do krotochwili i do *nastułki* 1) pańskiéj, służą dworzany i ci są pod mojem zawiadywaniem. Pomiędzy niemi znajdują się i stare ćwiki z wyprawnemi jęzorami jak rzemień, czasami skrzypią jak kołowrot, a czasami furczą niemi jak wrzeciono u prządki albo pytel w młynie. Z temi najgorsza sprawa bo to harde i narowne, ale mores znać muszą, bo nie dam sobie w kaszę dmuchać. Z młodszemi łatwiéj radzić, bo choć niby iskry ale znają posłuch i wnet się w zbytkach temperują. Kiedy oczekują pańskiéj dyspozycji, to powiadam wam że cudeńka dokazują, że aż muszę karcić za hałas i pustotę.

— „Bez kary nie byłoby miary" — odezwał się rodzic — „memu Jankowi także na figlach nie brakuje, ale daleki od zawadjactwa bo na to nie miał w domu przykładu. Czasem djabelstwo jakie wierci mu w głowie, ale wasza opieka mości Żukowski nie tylko krzyżém świętym umie zapewne zażegnywać djabła.

Marszałek uśmiechnął się na te słowa, a mnie po skórze dreszcz prześmignął, że aż poruszyłem plecami i ramionami. Postrzegli to oba starcy, bo spojrzeli na siebie znacząco, a marszałek rzekł:

— „Nie przedstawiajcie mnie panie rotmistrzu za takiego gorączkę, bo ja pragnę dla siebie poszanowania nie nakazem i nie musem, ale dobrocią i wyrozumieniem. W poczciwości wychowany młodzian pozna to wprędce i wypłaci się uczciwą potulnością i takim będzie wasz Janek przy Boskiéj pomocy.

Usłyszawszy to podbiegłem ku ojcu a potem ku marszałkowi i całując w rękę rzekłem wzruszonym głosem:

— „Naprzód dziękuję panu ojcu za wybór takiego przewodnika, a wam panie marszałku za przyjazne słowa, które w sercu mojem zachowam do grobowéj deski.

Widząc że słowa te przypadły do smaku obydwom starcom, bo ucałowali mi głowę a marszałek szepnął:

— „Podoba mi się wasz chłopiec, będzie z niego kiedyś człowiek.

— „Tylko go pochwałami nie psujcie mości Żukowski" odezwał się na to rodzic — „bo w młodych przedwczesna pochwała to zasiew na hardość. Z pyszałkami zaś termedji po uszy, i w starości cierpią uszy i czupryna co ich ostrzem żelaznem tzeba uczyć rozumu."

Na tem skończyła się nasza rozmowa. Pan marszałek poszedł za dworskiemi sprawami, a nam wskazał gościnny pokój do wypoczynku, gdy po obejrze-

---

1) Altembasem nazywano ciężką jedwabną materją.

1) posełki.

niu ogrodu i stajni dworskiéj, zechcemy z trudu użyć sobie.

Dzień ten nigdy mi nie wyjdzie z pamięci, był on wstępny w świat dotąd mi nieznany i przy pomocy Bożéj jakoś pięknie się zaczął.

(d. c. n.)

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

PANOWIE AUGIER I GLAIS BIZOIN.

Mieliśmy tu dwa niezmiernie pocieszne zdarzenia, któremi ruchliwi Paryżanie dosyć się długo zajmowali.

Wiadomo Wam zapewne, że w Paryżu reklama jest urządzona jak każdy inny towar, za który kupując go, targuje się i płaci. Używają do tego przeróżnych sposobów, nietylko dla szuwaksu, ale do najcelniejszych utworów sztuki. W teatrze klakierowie ważną bardzo odgrywają rolę, bez nich nikt nie poradzi, ani artysta, ani pisarz pierwszorzędny, obadwa zginą i przepadną, jeżeli wprzódy nie porozumieją się z niemi. Pan Augier autor komedji p. t. La contagion, w brew zwyczajowi nie ułożył się z klakierami i pierwsze przedstawienie sztuki w Odeonie, zdał zupełnie na gust publiczności. W tearze zgromadziło się liczne grono różnych znakomitości, oboje Cesarstwo, księżna Matylda, członkowie akademji i ministrowie. Znakomita partja studentów także przybyła na przedstawienie, i porządna porcja wzgardzonych przez pana Augier klakierów, aby go przekonać, iż umiejąc za pieniądze wybornie klaskać, za darmo lepiéj jeszcze gwiżdżą. Gwizdanie też przeraźliwe, zaraz po przedstawieniu kilku scen, napełniło przenikliwym piskiem, cały teatr, jednocześnie życzliwi przyjaciele sypnęli oklaskami, gwizdanie powiększyło się, zastukano nogami, parasolami, laskami, gwizdanie jeszcze przeraźliwsze nastąpiło, słowem powstał z tego taki zamęt, i wrzawa że gra artystów po kilka razy musiała być wstrzymaną. Czy więc sztuka udała się czy upadła i jaka jéj wartość, trudno ocenić. Jest ona bardzo podobną do komedji p. Sardou p. t. La famille Bénoiton i stanowi satyrę przeciw zepsuciu moralnemu.

Do drugiego wypadku dostarczył materjału pan Glais Bizoin deputowany francuzki, który ułożył sobie w gwałtowny sposób, że jest chodzącym genjuszem dramatycznym. Pod wpływem tego przekonania, napisał dramat p. t. *Prawdziwa odwaga*, i uznawszy go za arcydzieło, był pewny że w literaturze stanie się epoką, jak dla Turków ucieczka Mahometa z Mekki do Medyny. Odczytany w kółku przyjaciół i niektórych dziennikarzy przy libacjach półmiskowych i kieliszkowych, wywołał poklask i zdziwienie, któremi oswoiwszy się p. Glais Bizoin zapragnął publicznych pochwał i czołobitności przed przedstawieniem, dla geniuszu jaki w jego osobie zaświecił nad horyzontem Paryża. Tu jednak okazały się pewne trudności, wachania się, a choć przyrzeczono pochlebne artykuły i libacje ponowiły się, obietnica jakoś nie urzeczywistniała się i gazety uporczywie milczały, żądając koniecznie poprzedniego przedstawienia. Taka pedanterja dziennikarzy naturalnie rozgniewała pana deputowanego, a przypisując ją skrytéj zawiści, jaka po wszystkie wieki prawdziwe genjusze zawsze dotykała, postanowił ukarać cały Paryż, nieuznający swego proroka i na wieczny wstyd Francji pierwsze przedstawienie urządzić w Genewie w Szwajcarji. Owijając się więc w draperje płaszcza hiszpańskiego, przy wsiadaniu do wagonu wyrzekł te pamiętne słowa do żegnających go przyjaciół.

— „Francja stoi nad przepaścią, zepsucie w niéj obyczajów posunięte do najwyższego stopnia. Porzucam cię więc niewdzięczne miasto, a zacny lud Szwajcarski obdarzę błogosławieństwem mojéj myśli, świat nowy stwarzającéj.

Rozwiązanie było bolesne.... zacny lud Szwajcarski sztukę.... wygwizdał, a pan Glais Bizoin otrząsając proch z obuwia znowu wyrzekł pamiętne słowa:

— „Szwajcarja to ciemnica, lud jéj zna się tylko na różnych sposobach przyrządzania sera".

Jest to mała próbka zarozumienia, zwykle z głupstwem w jednéj postępująca parze. Można ją spotkać wszędzie, nie tylko w Paryżu, nawet u nas. Prawdziwa nauka jedyną jéj karczowniczką. Ona to jak słońce, ożywiające i upiękniające ziemię, uzacnia i uszlachetnia człowieka, robiąc go malutkim w duchu a olbrzymem w myśli. Nią piętrząc się coraz wyżéj i wyżéj, zbliża się człowiek ku tajemnicom Bożym, poznaje ich wielkość a swoją pyłkowatość i zamyka się w ciszy serca, mądrzejąc pokorą i poznawaną wszechmocnością. Ciemnica to piekło jęczące zgrzytem namiętności, kotłujących się jak chmury podczas burzy wyjącéj rozwścieczonym wichrem. Szatan od czasu buntu jakoś nie wiele stracił na swojéj sile. Co do klakierów instytucja to czysta Paryzka, znają ją wszyscy, drwią, szydzą, lekceważą i..... ulegają. Zabawne są niezmiernie umowy zawierane z klakierami, cynizm tak ich, jak interesantów prawdziwie zdumiewający. Publiczność, powiadają ci rozdawacze artystycznéj sławy, to owce pędzone w stadzie do strzyży. Chcesz aby szły razem i tam gdzie ci potrzeba, nie żałuj trzaskania z bicza, krzyku, postrachu, a ani jedna nie zboczy z drogi, jaką im przeznaczysz. W teatrze to samo dzieje się z publicznością, bij brawa, wrzeszcz pochwały, a wmówisz uwielbienie nawet dla partacza: gwizdnij, syknij lub wykrzyw się od ucha do ucha, a genjusz nawet padnie na proch starty i nie prędko oprzytomni się z ogłuszenia.

Nie dawno pewna młoda dama w sprawie bardzo drażliwéj badana ze sposobu utrzymania się, oświadczyła że jest artystką *lożową*.

— „Jakto? — zapytał inkwirent" — nie rozumiem pani odpowiedzi.

— „Tak jest, jestem artystką lożową, bo są parterowe i galerjowe.

— „Ale jakież pani obowiązki?

— „Obowiązki bardzo niewinne i nikomu najmniejszéj nie przynoszące szkody. Jeżeli dyrekcja jakiego teatru, pragnie podnieść artystę lub sztukę, wtenczas umawia się ze mną i osadza w loży. W danem miejscu w dramie naprzykład, zwykle w chwili najefektowniejszéj, oblewam się łzami, pomału wybucham głośnym płaczem, a w końcu spazmuje krzycząc przeraźliwie, jeżeli płacz nie wywołał żądanego efektu. Wówczas oczy wszystkie zwracają się ku mnie, służba wpada do loży, oblewa wonnościami,

trzeźwi, a klakiery biją oklaski i wznoszą okrzyki jakby z nieba padały pioruny sławy. To samo robię przy komedji, tylko płacz zastępuję śmiechem, wzmagającym się stopniowo, dopóki znowu uwaga powszechna przy mnie się nie skupi. Czasami znowu, żeby artyście jakiemu obciąć skrzydełka, na których zbyt śmiało bujając od teatru do teatru, w umowie z antreprenerem robi się coraz bardziéj wymagającym, zajmuje lożę jedynie dla tego, żeby w danem miejscu wyjść z niéj oburzona i wyraźnie dać poznać publiczności, że robię to dla sztuki lub dla artysty. Słowem jestem *artystką lożową* czyli pierwszorzędną". Kiedy jéj urzędnik zrobił uwagę, że podobne zatrudnienie, jest ubliżającem odrzekła z dumą:

— „Mylisz się pan. Komedjantami jesteśmy wszyscy i każdy z nas stara się rolę swoją jak najlepiéj oddać, okrywając się tysiącem kłamanych słów, grzeczności, frazesów, umizgów, jak tużurkiem, kapeluszem, złotem, jedwabiem i brylantami. Moja rola nikomu nic złego nie przynosi, owszem przeciwnie zasłudze dopomaga, a chciwość umniejsza. Pańska rola być bezstronnym i sprawiedliwym sędzią, a czy jesteś nim zawsze? Złe wykonanie przez ciebie obowiązku, nieobliczone przynosi straty i cierpienia, już bez naprawy niestety! Gdy mnie rola się nie uda, na drugi dzień poprawiam się najmniejszéj nie przynosząc nikomu przykrości. Zajęcie więc moje nie jest ubliżające, a konieczne, jeżeli zważemy *ciemnice* w jakiéj się błąka zdanie publiczności."

Ot i znów przeklęty wyraz *ciemnica* został wymówiony, który wpity w społeczność, jak upiór wysysa z niéj najżywotniejsze soki. Czysta z nią kara Boża! Przechodzę przeto do rzeczy poważniejszej.

(d. n.)

Pogadanka Tygodniowa.

W dziecinnych latach, pamiętam że jedna z piastunek czy młodszych sypiąca różne historje jak z rękawa, których skupieni główkami do siebie słuchaliśmy z drżeniem serca, dreszczem skóry i powstającemi na głowie włosami, powiadała często że:

W Maju
Jak w gaju
Gdzie rzucisz okiem.
Prosto czy bokiem,
Wszystko się zieleni,
W piękne barwy mieni.
Na polu na roli,
Skowronek świergoli,
W lesie kukułeczka,
Kuka do chłopeczka.
Tutaj muszka jęczy
Tam znów pszczółka brzęczy,
Tęcza niebo krasi.
A dla Jasia Basi,
Każdy kwiat rozkwita
Bo to maj.... i kwita.

Zakończenie najbardziéj podobało się nam, po niem następowały łachotki i gonitwa, z wielkim połączona krzykiem.

Napawając się dzisiaj wonią umajonych ogrodów, przypatrując się tak cudownie prawie w oczach rozwijającéj się naturze, słowa te mimowoli nasunęły się pod pióro.....

Mamy więc Maj w pełnéj swéj krasie, majówki, majowe nabożeństwa, grę majową w zielone, w głowach często zielono, słowem majowo wszędzie nawet na łbach końskich i nóżkach przybywających ze wsi z majowemi nowaljami do miasta. Z majem także rozpoczęły się koncerta orkiestry p. Bilsego, witane zawsze przez Warszawiaków z największym zapałem, sprawiedliwie zasłużonym niezmordowaną pracą dyrektora i staraniem godnem naśladowania. Otworzono również obadwa instytuty wód mineralnych przy dźwiękach muzyki Lewandowskiego i Kuhnego: uporządkowano ogródki z rakami, szparagami, i przekąskami: przy Wiśle szykują się łazienki i galary dla kąpiących, szybują parostatki spacerowe na Saską kępę, poruszają się berlinki z zimowych przystani, a na lądzie truppa Blennowa już rozpoczęła w cyrku swoje przedstawienia. Warszawa zatem w pełnym ruchu, w święta szczególniéj wre życiem, tak sprzecznem z uroczą ciszą pól i lasów, nie zapominających o święceniu dnia niedzielnego.

Jako objaw rozpoczętéj już wiosny, można także uważać wędrowne kompanie pobożnych na Jasną Górę do Częstochowy, z których jedna ze trzystu złożona osób z okolic Pułtuska i Ostrołęki przechodziła przez nasze miasto. Choć to obraz znany i często pojawiający się, poważny jednak śpiew pielgrzymów, ubogie ich szaty; owe węzełki i zawiniątka zawisłe na przygarbionych plecach, kije w rękach, chorągwie, obrazy, wszystko to dziwnie smętne robi wrażenie.

Jakaś rzewność nie wytłomaczona powstaje w duszy czuje się łzę w oku, serce silniéj uderza, myśl cofa się daleko, w owe legendowe wieki, owiane urokiem poezji. I dla czegoż to tylko biedota, poświęca się na te pobożne trudy?

Odsuwając względy religijne, jakżeby to dobrze było, gdyby każdy choć raz w życiu, odbył podobną pielgrzymkę. Zbliżenie takie, przypatrzenie się, przysłuchanie, nie zostałoby bez korzyści. Niejedno uprzedzenie rozwiałoby się, niejedna prawda na jaw by wyszła. Kto sprobuje, zaręczam że nie pożałuje, aby tylko z poczciwą myślą i z dobrą wolą. Między nami nie ma pielgrzymek, to też i wiara kroczy na pogańskich szczudłach, nie mogąc jakoś oderwać się od skorupy ziemskiéj. Przylgnięci do niéj ludzie puszą się rozumem, jak dziecko nową sukienką, ale krucha to podpora, pierwsze niepowodzenie łamie ją jak słomkę i rzuca w kleszcze rozpaczy.

Nie dawno Gazety doniosły o dwóch samobójstwach, jednego z ubóstwa, drugiego z doznanego zawodu. U pierwszego samobójcy znaleziono w sukience kartkę z napisem: Kassa = 0 — cóż tedy? Drugi młody malarz odebrał sobie życie ze zmartwienia, iż obrazów jego nie przyjęto na wystawę paryzką.

Podobne igraszki z życia, to lekceważenie daru Bożego, ponawiające się dosyć często robi nas niezmiernie podobnemi do starożytnego Rzymu. I tam żyć to było hulać, pić, jeść i bawić się po uszy, a czy tam gdzie głód lub nędza, czy uśmiech tonie w łzach rozpaczy, czy serce z bólu o mało nie pęka, to nikogo nic nie obchodziło. Każdy był światem samym dla siebie, własny interes był jak słońce, około którego obracały się wszystkie sprawy, myśli i czynności pojedynczych jednostek, co przekraczało granice promieniem jego zakreślone, nie miało, żadnego znaczenia, nie zwracało niczyjéj uwagi. Dopóki była możność używania, używano pełnemi garściami, rozkosz lała się strumieniem, uciechy kipiały jak mussujące w kielichu wino, śmiech, żart, pustota, były to niby wety pysznéj uczty życia. Po za ziemią nic nie widziano, w sobie nic nie uczuwano oprócz żądz namiętności, ludzie byli to piony na szachownicy, któremi obracać należało według własnéj potrzeby i interesu. Gdy pion nie przynosił korzyści odtrącano go, gdy był bezsilny pomiatano gdy zawadzał deptano. Za dzień rozkoszy dla kaprysu, zachciewki poświęcano cały świat żyjący; w sadzawkach mureny karmiono mięsem umyślnie na ten cel zabijanych niewolników; krociom słowików wydzierano języki na potrawki; w cyrkach dla zabawki płatano ludzi na szmaty jak papierowe lalki; poniewierano, druzgotano, rozbijano jak łupinę w orzechu, aby się tylko dobyć do jego środka, zyskać zabawę, uciechę, choćby chwilowe roztargnienie. Gdy nastąpiło wyczerpanie, przesyt lub ruina, cykuta kończyła wszystko. Myśl ludzka pełzająca przy saméj ziemi, nie pojmowała, że cel życia daleko jest świętszy, niż paparnie się w pyle materji. O uszacnianiu własnem, a przez nie całéj ludzkości, i tym sposobem o podnoszeniu się zbiorowem ku Bogu nikt nawet nie marzył. Słowo Ewangelij rozproszyło dopiero ciemności, zdjęło z ócz ludzkich rogowe zasłony samolubstwa i ukazało niebieskie wyżyny, jako zdobycz godną człowieka, drogą dobra i piękna. Świat odetchnął, w promykach myśli snującéj się w górę, błysnęła nadzieja, a jednak cóż dziś widziemy?

Gdyby ów ubogi z kassą przedstawiającą zero, wierzył, że nie ma tak krytycznego położenia, z któregoby przy pomocy Bożéj nie wydobyła silna wola i szczera chęć do pracy; gdyby ów malarz pojmował że nad sławę ziemską jest inny jeszcze cel życia ludzkiego, który spełnić jest obowiązany jako chrześcijanin, świat miałby mniéj o dwóch samobójców. Brak téj wiary i tego pojęcia popchnął ich do rozpaczy i rzucił ponury cień na całą społeczność, przedstawiając ją w potwornych kształtach dla przyszłego historyka. Ciemność widać jest nałogiem ludzkości, z któréj trudno ją wydobyć nawet siewem słowa boskiéj nauki, od ośmnastu wieków głoszonéj. Prawdziwa oświata rozproszy te ciemności, w winnicy Pańskiéj nawet karzełka praca stanie się olbrzymem.

O UBIORACH

Dzisiejsze sprawozdanie nasze, zaczniemy od ślicznych ubiorków na głowę, zakupionych w Paryżu przez panny Kuhnke. W tym zbiorze prawdziwie gustownym, znajdujemy wszelkiego rodzaju stroiki, właściwe tak do teatru, jak na obiad lub mały wieczorek. W ogólności ubrania teraźniejsze na głowę w niczem się prawie nie różnią od kapelusików, ani rozmiarem, ani formą, ani rodzajem przybrania. Zdobią je najczęściéj łańcuchem *Bénoiton*, który przyczepiony do boków, spada na piersi tworząc naszyjnik. Jedne z tych ubiorków tworzą denko z zębem na przodzie, nakształt kapelusza Pameli, drugie mają formę fanszonika z końcami po bokach, inne nakoniec zwane *empire* mają główkę złożoną z bufek. Opiszemy wszystkie te rodzaje po kolei.

Czepeczek *Pamela* miał denko z jasno fijołkowéj

materji, przeszyte w kratę słomą, nad czołem szła rusza z takiejże materji strzyżonéj, pomięszana z blondynką i słomą. Z tyłu spadały wązkie wstążki złączone razem i przepięte rozetą ze słomy. Szarfy fijołkowe jedwabne naszyte w kratę słomą, objęte wązką blondynką spadały po bokach.

Inny ubiorek miał nie wielkie denko ze słomy, zachodzące na przód głowy, pomiędzy niobami a warkoczem denko to ogarnirowane było do koła białą blondynką. Z boku szła egretka ze słomy, z drobnemi czarnemi ptaszkami w środku. Na warkocz spadał podwójny łańcuch Bénoiton, złożony z niebieskiéj wstążki i wstawki blondynowéj.

Fanszonik illuzjowy, z zębem wpadającym pomiędzy nioby, objęty był wąziuchnym wieńczykiem z fijołków. Na zębie po nad czołem wianeczek ten zakończony był broszą z kamei. Z tyłu na chusteczce dana była rozeta z blondyny i wstążki lilla, przepięta w środku kameą, z pod spodu spadały na warkocz długie końce. Od boków na przód puszczony był podwójny łańcuch Benoiton, z fijołków nawleczonych na elastykę.

Inna chusteczka różowa krepowa, z zębem wpadającym między nioby, nagarnirowana była nad czołem ruszą krepową, rusza ta miała po brzegach wąziuchną ruszkę z białéj illuzji. Na tył głowy spadały dwie szarfy krepowe ogarnirowane illuzją, przytwierdzone rozetą z wstążki różowéj z długiemi końcami.

Czepeczek *empire* biały illuzjowy, przeszywany czarną wązką aksamitką, miał nad czołem diadem z illuzji przytwierdzony krótką girlandką z pięciu pąsowych maczków. Z tyłu karczek blondynowy przypięty był takiemiż maczkami. Po bokach spadały szerokie szarfy illuzjowe przeszywane aksamitką, ogarnirowane ruszką z illuzji. Na warkocz spadał podwójny łańcuch Bénoiton ze słomy ryżowéj.

Inny czepeczek także *empire* przybrany aksamitką czarną miał z boku wpięty bukiet z pąsowéj geranji. Po obu stronach spadały końce ze zszytéj blondyny połączonéj pukielkami z wąskiéj aksamitki czarnéj. Na warkocz spadały pukle z czarnéj aksamitki.

Z pomiędzy ubiorków fantastycznych dla młodych mężatek podobało nam się bardzo gniazdeczko czarne nagarnirowane koronką, i perełkami z lawy, w środku była kamea. Cokolwiek z boku wpięty był bukiecik z róży i białych stokrotek. Od tego gniazdka szły długie wstążki ogarnirowane koroneczką, przeznaczone do okręcenia w koło koków. Podwójny łańcuch Bénoiton czarny lawowy, spadał od boków na przód tworząc zarazem naszyjnik.

Śliczny był także ubiorek w kształcie wieńczyka z białych fijołków, illuzji, wieńczyk ten tworzył ząb po nad czołem. Z boku zdobił go bukiecik z róż i fijołków białych bez liści. Na warkocz szły dwa końce illuzjowe objęte blondynką. Na te końce spadał łańcuch Bénoiton z białych fijołków. Z przodu takiż łańcuch tworzył naszyjnik.

Dodamy tu jeszcze opis kilku sukien gustownie odrobionych.

Suknia lekka wełniana popielata *chinée* z czarnem, miała po bokach z każdéj strony naszyte w podłuż brytów aż do dołu, po cztery wąziuchne pliski z czarnéj mantyny. Pliski te rozszerzały się u dołu, tworząc płaskie zęby zwrócone ku jednéj stronie. W środku tych zębów szły rzędem po trzy czarne jedwabne guziki. Do tego paletocik, miał boki naszyte odpowiednio.

Inna suknia szara wełniana, miała u dołu plisę z materji fijołkowéj. Plisa ta podnosiła się po bokach i tworzyła z każdéj strony cztery schodki, zbliżając się coraz bardziéj ku sobie w miarę jak dochodziła do stanu. Na każdym schodku szły trzy guziki fijołkowe dane jeden nad drugim. Od tych guzików przechodziły na bok pętlice szmuklerskie. Paletocik przybrany był odpowiednio, pliską u dołu, tworzącą schodki po bokach.

Ostatnia nakoniec suknia, jasno fijołkowa jedwabna, obszyta była u dołu, koronką białą kluni na dwa palce szeroką. Po dwóch stronach przodu koronka przechodziła wzdłuż sukni, przepięta rozetami z materji fijołkowéj; rozet tych szło pięć jedna nad drugą, w jednakowych odstępach. Stanik gładki spinał się na guziki szmuklerskie. Pasek naszyty dwa razy koronką kluni, spięty był z boku na odpowiednią rozetę. Rękawy u ręki obłożone były odwiniętą koronką. U pachy zamiast epoleta, naszyta była w koło koronka, odwinięta w górę na stanik.

Takie same suknie, widzieliśmy ubrane czarną koronką, co też bardzo ładnie wygląda. W ogólności suknie gładkie, zwłaszcza wełniane naszywają kolorową materją. Suknie zaś w pasy lub w deseń, robią bez żadnego garnirunku, obszyte u dołu grubym sznurem szmuklerskim. Ukazują się też letnie suknie z szerokim nadpowietrznym wolantem, co na lato bardzo ładnie wygląda.

ROZMAITOŚCI.

KWIATY I OWOCE.

(Dalszy ciąg.)

Cebulki kwiatowe. Krokusy. Jedna z najwłaściwszych roślin do hodowania w ziemi inspektowéj na kominie, jest krokus. Cebulki krokusu bardzo są małe, ztąd tym łatwiejsze do pędzenia zimą. Z pomiędzy trzydziestu odmian krokusów, mniéj więcéj do siebie podobnych, trzy odmiany różnią się zupełnie od siebie. Mówimy o krokusach białych, żółtych i lilla. Do zasadzenia dwóch doniczek, trzeba kupić ośmnaście cebulek krokusowych, sześć pomarańczowych tyleż lilla i białych. Można łatwo pomieścić ich po dziesięć, w doniczce średniego rozmiaru. Ponieważ cebulki te nie wiele kosztują, radziemy zasadzić niemi cztery doniczki w październiku. Dwie z nich postawione od razu na kominie, podlewać lekko po dwa razy na dzień, a zakwitną wciągu zimy. Dwie drugie doniczki należy postawić w nieopalanym pokoju, i podlewać czasami tylko, o tyle żeby zupełnie nie wyschły. Jak pierwsze okwitną, drugie postawione w ich miejscu zaczną ledwie z ziemi wychodzić. Wtedy należy podlewać je po dwa razy na

dzień, aby przyspieszyć rozkwit.. Krokusy przekwitłe można zostawić w ziemi, nie polewając ich wcale, a zakwitną w następnym roku. Co trzy lata wypada odmienić im ziemię, i oddzielić młode cebulki od starych.

Tulipany. Do sadzenia w doniczkach, trzeba tylko wybierać tulipany karłowate, znane pod nazwiskiem: księcia Toll. Można posadzić cztery lub pięć cebulek w średniéj doniczce, napełnionéj ziemią inspektową i próchnicą. Dobrze byłoby mieć cztery zasadzone niemi doniczki, aby dwie pędzić od razu, dwie zaś zachować w chłodnym pokoju, na czas kiedy pierwsze okwitną. Tulipany wymagają umiarkowanego podlewania. Kiedy pąk ma rozkwitnąć, radziemy objąć go wąziuchnym paskiem papieru, co przedłuży o parę dni czas kwitnienia.

(d. c. n.)

Opis czepeczków, kapelusza pameli, sukien i okryć wiosennych.

N. 1) Pamela z krepy lila z brzegiem słomkowym, ubrana białemi stokrotkami. Na szarfy z lila wstążki spada łańcuch *à la Bénoïton* z takichże stokrotek.

N. 2) Bluzka muslinowa naszyta cztery razy wstawką kluni na podwleczeniu z kolorowéj wstążeczki; reszta bluzki uszyta w zakładki jak równie całe plecy. Kołnierzyk stojący i rękawy około rąk odpowiednio przybrane.

N. 3) Czepek muślinowy garnirowany ruszą, naszytą u brzegu wązką koroneczką. Na główce haftowana rozeta lub wszyta ze wstawek.

N. 4) Sukienka z białéj alpagi dla dziewczynki od 2-ch do 4-ch lat. Stanik, pasek i dół sukienki wyszyte są sznureczkiem jedwabnym w czarnym albo niebieskim kolorze.

N. 5) Czepek z gładkiego i haftowanego muślinu w kółeczka. Zamiast haftowanego muślinu, można także użyć tiulu w muszki, dając garnirunek i bufkę do koka z gładkiego muślinu.

N. 6) Ubranie głowy z kwiatami.

N. 7) Kaftanik marynarski z białego *moltenu* dla dziewczynki ośmioletniéj.

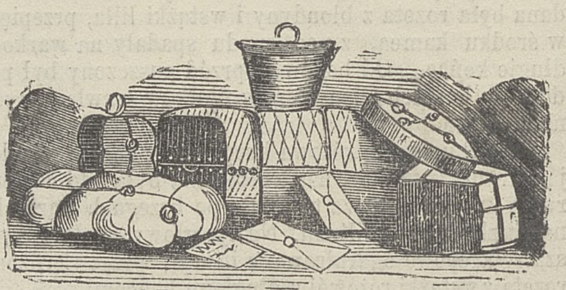
N. 8) Paltocik z czarnéj materji *gros-grains* przybrany pasmanterją. Rękawy ozdobione są u ramion kokardą ze spadającemi końcami, ze skośnych jedwabnych plisek. Kokarda przypięta jest broszą z kameą, końce zakończone grelotkami. Pamela biała słomkowa, ubrana czarną wstążką.

N. 9) *Ubranie dziewczynki od 5-ciu do 7-miu lat.* Sukienka z popielatéj alpagi naszyta u dołu czarną aksamitką. Kaftanik marynarski z aksamitnem ubraniem i guzikami lawowemi. Zamiast aksamitek i aksamitu użyć można wstążeczki i materji czarnéj. Toczek popielaty kastorowy albo czarny aksamitny, obłożony wieńcem z pawich piórek.

N. 10) Suknia z brązowego *lindsay* wycięta u dołu w zęby i podpięta patkami. Spódniczka z tego samego materjału jak suknia, również wycięta w zęby i naszyta rzędem płaskich guzików. Objęcie patek, zębów u sukni i spódnicy, jako też powleczenie guzików, z brązowéj materji. Paletocik ozdobiony sznurem jedwabnym i ładną pasmanterją przy kieszeniach. Kapelusz słomkowy ubrany wstążką *maisową.*

N. 11) Suknia z popielatéj popeliny w szafirowe pasy. Paletocik jedwabny ubrany torsadą szmuklerską z grelotkami. Koło torsady biała wypustka jedwabna. Kapelusz z popielatéj krepy.

N. 12) Beduina z jasno popielatego korciku, przystrojona jedwabnym sznurem tegoż koloru. Suknia czarna jedwabna. Kapelusz ze słomy brukselskiéj z główką jedwabną.



Pani J. Ku. Cztery barby koronkowe kosztują 32 rs. Tuzin koszul męzkich z holenderskiego płótna rs. 72 bez opakowania i opłaty pocztowéj. Po odebraniu pieniędzy sprawunki mogą być za 10 dni wysłane.

Pani Stanisławie Sza. w Obrowie.
Pani Karo. Lip. w Jołtuszkowie.
Panu Ol. But. w Bobrujsku.
Pani Franken. w Urazowie.
Pani Alinie Wasilew. w Orszy.
Pani Nowa. w Mozyrze.
Panu Miło. Za. w Kotiurzyńcach.
Panu Bole. Leńkie. w Chomiczkach.
Pani Hono. Kozłow. w Kijowie.
Pani A. Czosnow. w Krzywaczyńcu.
Pani Sadow. w Gaju.
Pani Zenonie Nowic. w Lipecku.
Pani Borzy. w Borzymowie.
Panu Teofilowi Modze. w Paciorowéj.
Pani J. Czarnec. w Mikułowicach.
Pani Katarzy. Kienie. w Dereszewicach.

Sprawunki wysłane zostały.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

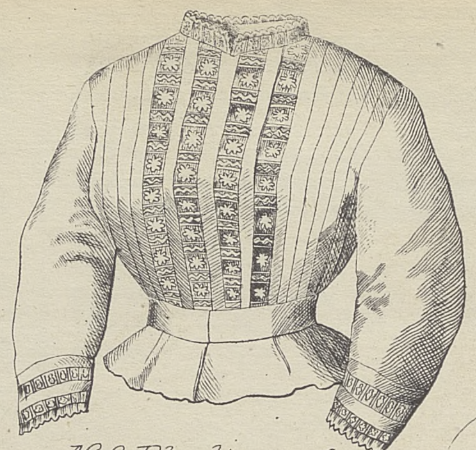
Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz ze wzorami czepeczków, kapelusza Pameli, sukien i okryć wiosennych.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

(Dodatek).



N° 1. Pamela z krepy i słomki



N° 2. Bluzka muślinowa



N° 3. Czepek muślinowy



N° 4. Sukienka dla dziecka.



N° 5. Czepek muślinowy



N° 6. Ubranie głowy z kwiatami.



N° 7. Kaftanik marynarski

N° 166.
TYGODNIK MÓD
w Warszawie.



N° 8. Paltocik czarny jedwabny.



N° 9. N° 10 i 11. Figury w paletocikach jedwabnych. Beduina koronkowa.

Dodatek do Nr. 20 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 7 (19) Maja 1866 r.

PAMIĘTNIK MŁODEJ MĘŻATKI

PRZEZ

WIKTORA CHERBULIEZ

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiéj.

(Dalszy ciąg.)

Najprzód trzeba było odszukać zbiega, który po krótkim pobycie w Grignan, zginął bez wieści. Udałam się do pana Malombré, gdyż on jak wiadomo, wszystko wie i wszystko widzi; zapewnił mnie natychmiast, że odszuka zgubę, że już nawet widział przez lunetę jakiegoś młodego cudzoziemca krążącego około twego parku. We trzy dni potem, służący wysłany przez pana Malombré na zwiady, uwiadomił mnie, że pan Arsen Dolfin mieszka w chacie wiejskiéj w pobliżu Réauville. Jak widzisz ulokował się prawie pod murami zakonu Trapistów, jak kochanek obierający pomieszkanie na strychu, byle z tamtąd widział okna pokoju swéj ulubionéj. Posłałam do niego prosząc aby mnie odwiedził; odpowiedział, że pośpieszy na moje wezwanie. Szczerze mówiąc, wyobrażałam sobie, że zobaczę jakąś dziwną postać z twarzą opętanego, z dzikiem i surowym wzrokiem, i doprawdy zadziwiłam się ujrzawszy człowieka już od pierwszego wejrzenia pociągającego ku sobie wyrazem jakiejś słodkiéj melancholji, rozlanéj w jego twarzy, którego prędzéj możnaby wziąść za poetę niżeli za ascetę. Nie jest pięknym, ale ma śliczne oczy, i głos prawdziwie czarujący, dźwięczny, miły, uroczy, melodyjny, jakiego dotąd jeszcze nie słyszałam, słowem głos który sam przez się mógłby zaniepokoić nie jedno serce. Po krótkiéj rozmowie przekonałam się, że pod tą łagodną i ujmującą powierzchownością kryje się dusza niezłomna, śmiała, zdolna do wszelkich cnót, ale upornie obstająca przy swojem przekonaniu, choćby to groziło jéj nieszczęściem. Pomimo największéj uprzejmości, pan Dolfin nie dozwolił mi dotknąć palącéj kwestji, skoro tylko zaczęłam mówić o tym, zwracał zręcznie rozmowę na inny przedmiot, lub pełnem godności milczeniem, zamykał mi usta. Osądził widać, że nie jestem godną wnikać w jego tajemnice i wygłaszać zdanie w tak ważnym przedmiocie; ale jeżeli mój wdowi czepiec nie budzi w nim ufności, nie idzie za tem abyś ty nie była szczęśliwszą, założyłabym się, że przed tobą chętnie się wyspowiada. Zajmij się tem, droga Izabello, wszakże to zawsze miło postawić na swojem; ty zaś podwójną będziesz miała zasługę, spełnisz dobry uczynek i zobowiążesz przyjaciółkę.

Domyśliłam się, że pani d'Estrel wzywając mego pośrednictwa w tak drażliwéj sprawie, chciała mnie rozerwać i choć na chwilę zagłuszyć boleść moją. Czyby też wymagała tego, pomyślałam, gdyby wiedziała że znam pana Dolfin? Co powiedziałaby o jego talencie malarskim? Miałam zamiar powiedzieć jéj o tych sześciu szkicach: ale nasze czyny i zamiary tak rzadko zgadzają się z sobą.

— Mój Boże rzekłam, jeśli klasztor Trapistów ma tyle powabów dla pana Dolfiin, po co go oddalać od celu jego życzeń? po co miłości jego stawiać przeszkody? Na kogóż to jeszcze wkładasz pani obowiązek pogodzenia go ze światem? Czyż sądzisz, że potrafię przedstawić mu w świetnych kolorach rozkosze życia światowego, niewysłowione słodycze małżeńskiego pożycia.....

Zanim pani d' Estrel zdołała mi odpowiedzieć, wszedł pan Dolfin. Nie spostrzegł mnie zrazu; postąpił na środek salonu, i zobaczywszy, cofnął się, zmięszał i zarumienił po uszy. Przyszło mi na myśl, że pewno w téj chwili przypomniał sobie swoje szkice: Pani d'Estrel postrzegła to jego zmięszanie, ale policzyła je na karb wrodzonéj nieśmiałości. Mnie pan Dolfin nie wydawał się nieśmiałym ani lękliwym, nie dostrzegłam w nim nawet téj sztywności obejścia, właściwéj ludziom żyjącym zdala od świata; w jednéj prawie chwili przezwyciężył wzruszenie, i rozpoczął rozmowę spokojnym i naturalnym głosem; na mnie jednak nie spoglądał wcale. Pani d'Estrel, upokorzona pierwszem niepowodzeniem, tym razem otwarcie rozpoczęła badanie. Odpowiadał bez gniewu, z wyszukaną grzecznością, dając jednak poznać że nie uznaje kompetencji sądu. Nie zdradził się ani jednem słówkiem, zręcznie odbijał pociski, i nie dozwolił swéj przeciwniczce, pocieszyć się wygraną. W rozmowie jego nie było śmiałych i błyskotliwych zwrotów, ale potoczyste jego wysłowienie, posiadało jakiś nieopisany wdzięk naiwności właściwy czystym duszom, w połączeniu z tą włoską bystrością, odznaczającą się nie tyle dowcipnemi słówkami, jak darem chronienia się błędów i umiejętnego korzystania z popełnianych przez innych.

Co do mnie, prawie nie mieszałam się do rozmowy, czując że nie nadeszła stosowna chwila, i że zwłaszcza przy pani d'Estrel, pan Dolfin nic mi nie powie. Tymczasem starałam się poznać go i zbadać jego usposobienie; zdawał mi się zupełnie odmiennym od wszystkich dotąd znanych mi mężczyzn; dusza jego innego nabrała hartu, do innego, że się tak wyrażę należała rodzaju. Widząc go, łatwo było poznać, że umysł jego trawiony był jakąś ciągłą, nie opuszczającą

go myślą; wypukłe czoło, kąty ust nieco w dół pochylone, kilka przedwczesnych zmarszczek, znamionowały jakieś znużenie, a jednak całość twarzy pozostała równie młodą, jak głos cudownie dźwięczny, w którym było coś prawdziwie anielskiego. Głos ten zdawał się umyślnie utworzony do wyrażania subtelnych skrupułów czystego sumienia, polotów duszy ku niebu, skruchy i żalu, z których sam Bóg się uśmiecha. Czemuż on tak pragnie zamknąć się u Trapistów? Wszakże to zwykłe schronienie nieuleczonych boleści, zbrodniczych wspomnień, gorzkich zawodów i niesmaków życia, ktore do siebie samych czując nienawiść, już za życia zagrzebują się w grobie. Lecz po cóż ma się ukrywać niewinność w tym przytułku rozbitków życia? cóż tak nienawistnego czuje w sobie? czyż sama nie jest odbłyskiem nieba, czyż nie umie wszędzie ofiarować się Bogu?...

Po kilku daremnych usiłowaniach, pani dEstrel dała za wygraną i rozmowa toczyła się o zupełnie obojętnych przedmiotach. W chwili kiedy prawie ustawała, pani d'Estrel prosiła abym jéj zagrała ulubioną sonatę Mozarta. Dawno już nie grałam i czułam, że z trudnością będę ją mogła zadowolnić, ale trudności wywołują często natchnienie. Była to właśnie ta sama sonata, którą kiedyś w Louveau ojciec kazał mi zagrać w przytomności Maxa. Kiedy z pod palców moich wydobyły się pierwsze tony, zdawało mi się, że widzę nasz mały salonik, ojca słuchającego mnie z rozkoszą, Maxa stojącego przy mnie i mówiącego: „Słyszałem to już nie raz, ale dziś dopiero zrozumiałem." Skończywszy, odwróciłam głowę, i spostrzegłam zdziwiona, że już tylko pani d'Estrel pozostała w salonie.

Roześmiała się i powiedziała mi.— Muzyka twoja wypłoszyła nocnego ptaszka.

— Może go wystraszyła?

Wystraszyła! to niepodobna, grałaś tak cudownie! Zaraz po pierwszych akordach, nasz młody asceta zaczął słuchać z natężoną uwagą; potem twarz jego stawała się co raz bledszą, stał nieruchomy, z zaciśniętemi ustami, z oczami wlepionemi w ciebie, jak w cudowny obraz; następnie, zdawało mi się, że łzy popłyną mu z oczu, lecz raptem odwrócił głowę i cicho wyszedł z salonu. Doprawdy to jakaś dziwna istota, poniekąd zaczynam się lękać czy on czasem nie ma jakiego ćwieka w głowie; a szkoda, bo pomimo to, bardzo miły.

Pan Dolfin powrócił i rzekł zbliżając się do mnie:

— Zechciéj mi pani przebaczyć; jestem trochę dziki, nietowarzyski; nie ma we mnie poczucia śmieszności, i nie obawiam się okazać śmiesznym; nie umiem żyć w świecie i taić moich wzruszeń. Przed chwilą czułem się do łez rozrzewnionym; tak dawno już nie słyszałem muzyki, a podobną do téj rzadko się słyszeć zdarzy.... Nie byłem panem mego wzruszenia, obawiałem się przerwać muzykę pani.... uciekłem.... Jak pani widzisz, dodał zwracając się do pani d'Estrel — ze spokojnym sumieniem mogę przywdziać habit; nikomu nie zrobię przykrości, i świat nic nie straci.

— O! wybacz pan, odpowiedziała, to jeszcze nie dostateczny powód do zostania trapistą. Nie przeczę, że jesteś dziwakiem, ale ja większych dziwaków spotykałam w świecie. Jeśli zechcesz odwiedzać nas czasami, mam nadzieję, że wraz z panią de Lestang, potrafimy cię wyleczyć z téj nienawiści do świata.

W téj chwili wstałam aby się pożegnać. Pani d'Estrel zawołała — pozostań jeszcze chwilkę, moja droga, wyspowiadaj pana Dolfin; czyż to nie wstyd aby dwie kobiety, nie potrafiły wspólnemi siłami zbadać tajemnicy, jednego mężczyzny.

— O! nie lękaj się pan, odpowiedziałam; jeśli przyjmiesz miejsce w moim powozie, przyrzekam, że nie rozpocznę badania; jeśli pan zechcesz, będziemy tylko mówić o deszczu i pogodzie.

Po krótkiem wachaniu przyjął i pojechaliśmy. To sam na sam podobało mi się; jakkolwiek nie było w niem nic nagannego, zdawało mi się, że kogoś brawuję. Pan Dolfin siedział milczący; zdawał się nie tyle zmieszanym jak zdziwionym, jak gdyby się nie mógł rozpoznać w tak nowem dla siebie położeniu. Wyglądał przez okno, patrzył na biały atłas, którem powóz był wybity, najczęściéj jednak przyglądał się mojéj sukni; czasami tylko zatrzymywał wzrok na kołnierzyku, jakby chciał rozpoznać wartość koronki, ale ani razu nie podniósł go wyżéj. Chcąc przerwać to cokolwiek kłopotliwe milczenie, zaczęłam chwalić panią d'Estrel.

— Jakże to wielka cnota, ta gotowość niesienia przysługi drugim, w osobie zawsze cierpiącéj, i tak mało zajętéj sobą.

Wstrząsnął głową.— Bezwątpienia powiedział, jest to zacna kobieta, tylko jak wszyscy ludzie światowi, zbyt lekceważy kwestję sumienia. Jéj się zdaje, że można je stawiać na równi z innemi interesami, że byle nie wyszukiwać zbytnich subtelności, łatwo zawsze porozumieć się z sumieniem. Niestety! jakież przeciwko memu postanowieniu mogłaby stawić zarzuty, którychbym już po sto razy nie powtórzył sobie! Ale któż może oprzeć się swemu powołaniu, czyli mówiąc właściwiéj, ukryć się przed swem przeznaczeniem?

— Strzeż się pan, zawołałam, przyrzekłam że nie rozpocznę badania, a pan możesz mnie pobudzić do złamania słowa.

— W takim razie, odpowiedział z ogniem, pani potrzebujesz strzedz się ciekawości, bo gdybyś mnie zapytać chciała, czuję, że nicbym ukryć nie potrafił. Jest w pani coś takiego.....

Wymówiwszy te słowa zatrzymał się zmięszany. Ale dodał po chwili:

— Sądzę że dość mnie widzieć aby rozumieć że nie jestem stworzony do świata. Aby świat polubić, trzeba mieć upodobania których ja nie posiadam. Małe namiętności dopomagają do życia, wielkie zabijają. Już w dzieciństwie byłem nietowarzyski, zamknięty w sobie, dręczony stałą, nieodstępną myślą; ojciec łajał mnie, mówiąc, że myśl wiecznie na jeden przedmiot zwrócona, może sprowadzić pomieszanie zmysłów, powtarzał mi słowa jakiegoś Rzymianina, który utrzymywał, że chcąc być szczęśliwym trzeba mieć w głowie tysiące myśli: *bisogna aver mille cose, una confusione nella testa.* Miał słuszność, ale, niestety! nie możemy podług woli wpajać w sebie lub pozbywać się myśli. Ja miałem jedną tylko i nie mogłem się od niéj uwolnić, dzień i noc woła na mnie, że tam powinienem żyć i umierać.

To mówiąc wskazywał ręką lasy otaczające Aiguebelle.

W téj chwili, na kilka kroków przed nami, spostrzegłam pana de Malombré, odbywającego zwykłą swą przechadzkę, z założonemi na krzyż rękami i w wielkim słomianym kapeluszu. Usunął się na bok, i kłaniając się wyciągnął szyję, aby mógł lepiéj zajrzeć do powozu.

— To także szczególniejszy człowiek rzekł pan Dolfin.

— Pan go znasz?

— Któżby go nie znał? Czyż jest choć jedna tak upośledzona istota, w któréj interesa nie zechciałby się wmieszać pan de Malombré? Wszakże raczył odwiedzić mnie w Reauville, chcąc jak się wyraził, poświęcić się na moje usługi; poczem zaczął odpowiadać na zapytania, których mu wcale nie zadawałem, a w końcu rozpoczął jakąć długą historję, przerywaną ciężkiemi westchnieniami. Biedny człowiek! widać, że okropnie się nudzi.

— Do tego stopnia, że chcąc się rozerwać tworzy sobie urojone cierpienia.

— Jednak, odpowiedział pan Dolfia z niejakim wachaniem, mówił mi, że doznaje ciężkich strapień umysłu i serca....

— Tak, odrzekłam, powtarza to każdemu, sądząc, że tym sposobem potrafi to wmówić nie tylko w drugich, ale i w siebie.

— Tak, wyszeptał, szczerą prawdziwą boleść, możnaby tylko wyjawić szlachetnéj duszy.

W téj chwili oczy jego szukały moich. Nie umiem powiedzieć jakiego doznał wrażenia, ale widziałam że zadrżał, prędko spuścił oczy i chcąc ukryć wzruszenie, zapuścił się w filozoficzno-moralne dowodzenia. Słuchałam nie przerywając; czasami trochę bredził, unosił się w świat urojeń, ale mówił z tak szczerą prostotą, że nie znudził mnie wcale.

— Jakże pani jesteś dobrą, że chcesz mnie słuchać, rzekł wreszcie, kiedyśmy się zbliżali do Lestang, ale jakże ja niekorzystne wspomnienie zostawię po sobie! Szczęściem, wspomnienie to wkrótce się zatrze. Jaskółka nie pozostawia w powietrzu śladów po swym przelocie; i któż pomyśli o niéj, skoro z niknie z przed oczu?

— Od pana zależy nie dopuścić zapomnienia, jeśli tylko, stosownie do życzenia pani d'Estrel, zechcesz niekiedy poświęcić nam chwilkę czasu, pomówić z nami....

— O! pani, przerwał z żywością, teraz lepiéj jeszcze czuję, że mi potrzeba przywyknąć do milczenia.

Po chwili dodał przytłumionym głosem:

— Z okien mojego pokoju dostrzegam z jednéj strony mury klasztoru trapistów, z drugiéj wieżę zamku de Lestang: to jeszcze za wiele.

Mówiąc te słowa, otworzył drzwiczki, wyskoczył z powozu: pożegnał mnie i oddalił się śpiesznie.

Jeżeli p. d'Estrel miała zamiar rozerwać mnie trochę to jéj się dobrze powiodło. Nie powiem żebym to spotkanie się w Chamaret z młodym entuzyastą, uważała za jakieś ważne dla mnie zdarzenie, ale zawsze to niespodziewane zjawienie się osoby, budzącéj we mnie trochę ciekawości połączonéj ze współczuciem, przytłumiło na chwilę bolesne wspomnienia zakrwawiające mi serce.

Przez piętnaście dni wiał gwałtowny wicher północno-zachodni. Zima zaraz w początku powitała nas mrozami. Nie wyjeżdżałam nigdzie, i nikt mnie nie odwiedzał; najczęściéj siedząc zamyślona przy kominku, bawiłam się machinalnie długim sznurem bursztynów, który zazwyczaj noszę. Wtenczas to niekiedy stawał mi w pamięci obraz pana Dolfin; zdawało mi się, że widzę przed sobą tę twarz, w któréj tak wybitnie malowała się dusza czuła i kochająca; przesadzona drażliwość sumienia, serce zdolne czuć silnie i łatwo ulegające wzruszeniu. Zastanawiałam się nad surowością jego życia, dziwactwem usposobienia, nad tą tkliwością, któréj zasady ascetyzmu nie zdołały przygłuszyć, wszystko to połączone razem, zdawało mi się trudną do rozwiązania zagadką.

Najwięcéj jednak pragnęłam rozwiązać pytanie, jakiego rodzaju uczucie obudziłam w panu Dolfin. Po co te tajemne wycieczki do parku? Po co ta nocna przechadzka pod mojemi oknami? Co znaczyło to zmieszanie, to widoczne wzruszenie kiedy mnie zobaczył? Co znaczyły te słowa „z okien mojego pokoju, widzę wieże zamku de Lestang; to jeszcze za wiele.“ Nie przypuszczałam nawet aby prawdziwie zakochał się we mnie, byłam przekoną, że nie serce ale głowa była u niego zajętą. Kiedy raz spoczywając pod cieniem drzewa, prowadził z własnym sumieniem poważną rozmowę, zobaczył nagle kobietę dość piękną, a do tego płaczącą. Niespodziewane to spotkanie wywarło na jego umyśle wrażenie, z którego nie mógł się jeszcze otrząsnąć. Może też to wspomnienie ścigało go zbyt upornie; może obraz téj kobiety przeszkadzał mu w zebraniu ducha; może chwilami widział ją stawającą między nim i murem Trapistów.....

Zapomniałam już gdzie położyłam znalezione notatki; zaczęłam szukać i znalazłam. Pomiędzy włoskiemi zdaniami wypisanemi na początkowych kartkach, znalazłam niektóre ustępy z *Naśladowania*:

„W celi twéj znajdziesz to co często utraciłbyś za jéj murami. Cela twa tym milszą ci się stanie, im rzadziéj opuszczać ją będziesz; opuszczana często, wyradza znudzenie. Jeżeli pozostaniesz jéj wiernym, od pierwszéj chwili w któréj porzuciłeś życie światowe, stanie się ona dla ciebie najmilszą przyjaciołką i najsłodszą pociechą.“

Potem następowały te słowa: „Arsenie uciekaj od ludzi a będziesz zbawiony.“

Szkice były niedokładne, znać w nich było niewprawną rękę, a może ta ręka kreśląc je drżała?... w ostatnim prawie uchwycono podobieństwo. Z boku zobaczyłam następujący napis:

„Jakże to często dzień rozpoczęty w radości zakończamy w smutku, ileż razy przebudzamy się smutni po radośnie spędzonym wieczorze! Tak więc wszelkie uciechy zmysłowe przynęcające nas w początku swoją słodyczą, późniéj ranią boleśnie lub zabijają.“

— O! biedne dziecię! pomyślałam, rana twoja jeszcze bardzo jest lekką!

A jednak, kto wie?... Czasem znowu, kiedy pomyślałam, że ktoś cierpi przezemnie, czułam się mniéj samotną i opuszczoną.

XV.

Raz po południu, w dzień śnieżysty i mroźny, przyszła mi myśl że pan Dolfin jest w drodze do Lestang, w pół godziny potem, oddano mi jego bilet wizytowy, a chwilkę późniéj siedzieliśmy na przeciwko siebie przy kominkowym ogniu.

Od paru dni wpadłam znowu w to głębokie zniechęcenie, czułam tę pożerającą tęsknotę, to oburzenie przeciwko niesprawiedliwości przeznaczenia, które raz już nasunęły mi myśl samobójstwa. Czyż mówiłam sobie, będę wiecznie jak galernik, ciągnąć te kulę za sobą? Czyż do śmierci przykuta jestem do tych obmierzłych murów? Nie żyć tak dłużej nie podobna. Czyż straciłam wszelką siłę woli? Na cóż jeszcze czekam? Czemu się nie oddalę? W końcu zdecydowałam się opuścić Lestang i tego jeszcze dnia rozpoczęłam przygotowania do podróży; lecz nagle powstrzymała mnie myśl jak gwałtownym smutkiem, zatruję dni ojca; pozostałam więc miotana straszną niepewnością jakie złe wybrać lepiéj, przygnębiona gorzkiem przekonaniem, że wszystko dla mnie niepodobnem, że nie potrafię znaleźć drogi do wyjścia z tak okropnego położenia.

Łatwo pojąć, że w takiem usposobieniu z radością powitałam pana Delfin, cieszyłam się, że ktoś zmusi mnie poniekąd, zapomnieć na chwilę o moim smutku, żem odgadła jego przybycie; zdawało mi się, że jakiś niewidzialny węzeł łączy nasze dusze, że nie jestem już tak samotną, tak opuszczoną.

— Nie dotrzymałem słowa, rzekł, uśmiechając się smutnie, lecz to wina pani d'Estrel; naglona, jak się zdaje, prośbami méj matki, napisała do mnie długi list zapełniony uwagami, nad mojem, jak się wyraziła, szaleństwem. Wyszedłem z myślą odpowiedzenia ustnie na poczynione zarzuty, lecz w drodze, zastanowiłem się że prawdopodobnie nie zrozumie tego co jéj powiem.

Przed panią tylko mógłbym otworzyć serce, może wysłuchawszy mnie, zechcesz pani przedstawić moje powody i stanąć w méj obronie.

Mów pan, rzekłam; być może że mnie przekonasz, nie raz już pomyślałam że świat prawdziwą mądrość nazywa niekiedy szaleństwem.

Przez chwilkę siedział milczący, ze spuszczonemi oczyma, w końcu powiedział.

„Idąc tu sądziłem, że łatwo mi przyjdzie wyznać wszystko, teraz brak mi odwagi; boję się okazać śmiesznym, co dla mnie byłoby prawdziwem nieszczęściem. Wolałbym już wyznać jaką zbrodnę, jaki straszny przerażający postępek. Wtenczas powiedziałabyś pani, „idź duszo występna, idź odpokutować za czarną przeszłość.“ Kto wie? czy przedstawiając umiejętnie zbrodnicze mòje czyny, nie potrafiłbym zadziwić cię, otoczyć się prawie aureolą bohaterstwa; wtenczas możebym panią przeraził, ale ustrzegłbym się śmieszności. Niestety! napróżno szukałbym w całéj méj przeszłości, choćby tylko jakiegoś ważnego, zajmującego zdarzenia. Życie łatwem mi było od urodzenia; zepsute dziecię szczęścia, nie potrzebowałem nigdy staczać walki z losem, nie znałem przeciwności, nie przebyłem żadnego niebezpieczeństwa, i na nikogo żalić się nie mogłem. Jednak po tak szczęśliwie spędzonym wieku dziecinnym, kiedy wszystko zdawało mi się uśmiechać, jakiś ciężki, niewypowiedziany smutek opanował moją duszę, zimną swą ręką ciśnie moje serce i ani na chwilę mnie nie opuszcza. Ach! pani, nieszczęście nie w tem co nas otacza, ale w nas samych spoczywa; wszak dość czarnego punktu na źrenicy, aby wszystko około nas czarną pokryło się nocą.

Sądzę że muszę być ulepionym z tejże saméj gliny z któréj wyrabiają się zarówno bohaterowie i półgłówki; zachodzi bowiem niejakie podobieństwo między tymi dwoma rodzajami ludzi. Tak dla jednych jak dla drugich, miarą wszech rzeczy są własne ich myśli; lecz kiedy jedni, jakby czarnoksięzką ożywieni siłą, potrafią marzenia swe zamieniać w rzeczywistość, drudzy, ludzie nicości, daremnie szamocząc się całe życie z próżnią swych bezkształtnych urojeń. Daremnie rzucają się na wszystkie strony, wszystko z rąk im się wysuwa, w nic życia wlać nie zdołają, i każdy dzień ich życia zaznaczony jest chybionymi zamysłami lub niezziszczoną nadzieją. Niestety! czuję to dobrze, że i ją należę do rzędu tych bezużytecznych i upośledzonych istot, które żyją nie żyjąc, i umierają, nie rzuciwszy w ziemię ani jednego płodnego ziarna. A jednak byłem tak śmiałym, tak przedsiebierczym, tak nieustraszonym w młodocianych latach moich! tak wierzyłem w swe własne siły! Gotów byłem przysiądz, że jestem powołany do dokonania wielkich rzeczy, daremnie jednak mały człowieczek wspinał się na palce, nie stał się przez to większym.

„Czemuś tak smutny? pytano mnie; cóż ci do szczęścia brakuje? Lecz czyż ja dbałem o takie szczęście? Dusza moja przepełniona miłością, gorąco pragnęła oddać się całkiem czemuś albo komuś, łaknęła ofiar i cierpień poświęcenia,— a do tych pragnień łączyła się jeszcze potrzeba zupełnéj odpowiedniości w biegu mego życia. Logika nie tylko jest prawem mego umysłu, ale nadto konieczną potrzebą mego serca; przyrzekałem więc sobie pozostać zawsze w zgodzie z samym sobą i nie wchodzić w żadne układy z sumieniem. Wszelkie zastrzeżenia uważałem za przeniewierzenie, wszelkie ustępstwa za poniżające kłamstwo. I szukałem wszędzie władzy czyli raczéj władczyni, któréj mógłbym poświęcić całe życie moje, lecz szukałem jéj po nad obłoki, i w patrując się w niebo, oczekiwałem chwili w któréj spuści się z niego w aureoli chwały, i zstąpi do mnie na ziemię. Oczekiwałem jéj przyjścia z gorączkową niecierpliwością, ubóstwiałem nieznaną, chciałem jak najprędzéj zaprzysiądz jéj wierność, i gotów byłem cierpieć i umierać dla niéj.

I trwałem tak w tem gorączkowem oczekiwaniu, goniąc za czemś niedoścignionem, aż w końcu matka przerażona mojem dziwactwem, przyzwała zacnego duchownego francuzkiego, i poruczyła mnie jego pieczy, zalecając aby starał się sprowadzić mój umysł na drogę zdrowego rozsądku. Ksiądz Néraud, posiadający umysł dość gruntowny lecz zbyt jednostronny, którego główną słabością jest upodobanie w rezonowaniu, umiał powagą swoją wzbudzić we mnie poszanowanie i w krótce opanował mnie zupełnie. Czas jakiś badał mnie starannie, liczył prawie uderzenia mego pulsu, a w końcu uspokoił matkę, że niezadługo będę wyleczony.

(d. c. n.)
